

Można oszaleć

Krystyna Rożnowska

Można oszaleć

Osobliwy świat
szpitala psychiatrycznego

Wydawnictwo WAM

Publikacja dofinansowana przez Szpital Specjalistyczny
im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie

© Wydawnictwo WAM, 2017

© Krystyna Rożnowska, 2017

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka

Redakcja: Lidia Kośka

Korekta: Magdalena Mrozek i Jadwiga Makowiec / d2d.pl

Projekt okładki: Katarzyna Ewa Legendź

fot. © Archiwum Szpitala Specjalistycznego im. dr. J. Babińskiego

Projekt typograficzny i skład oraz przygotowanie ilustracji: Robert Oleś / d2d.pl

Złożono pismami Questa i Questa Sans Martina Majoora i Josa Buivengi

Zdjęcia na wyklejkach i s. 1–170, 177–186, 259:

fot. © Archiwum Szpitala Specjalistycznego im. dr. J. Babińskiego

Zdjęcie na s. 249: fot. © Grzegorz Piotrowski

Zdjęcia na s. 173, 194–231, 256, 264–311: fot. © Dariusz Kobucki

ISBN 978-83-277-0693-5

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254–255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

e.wydawnictwowam.pl

Spis treści

Część pierwsza: lata 1916–1986

Na peryferiach życia

- I Jest takie miejsce 9
- II Co jest za tą bramą? 49
- III Ludzie ludziom 69
- IV Oszaleć z miłości 105
- V Ostatnie miejsce na ziemi 123
- VI Równi wobec Najwyższego 145
- VII Do skutku 155

Część druga: lata 1986–2016

Wykluczeni

- I Uratować szpital 171
- II Gdyby był taki lek... 187
- III Różne twarze psychiatrii 199
- IV Sztuka leczenia sztuką 219
- V To chorzy, nie przestępcy 249
- VI W konspiracji 265
- VII Chcą wrócić, ale dokąd? 291
- VIII Spacerem w następny wiek 309

Kalendarium 1903–2016 316

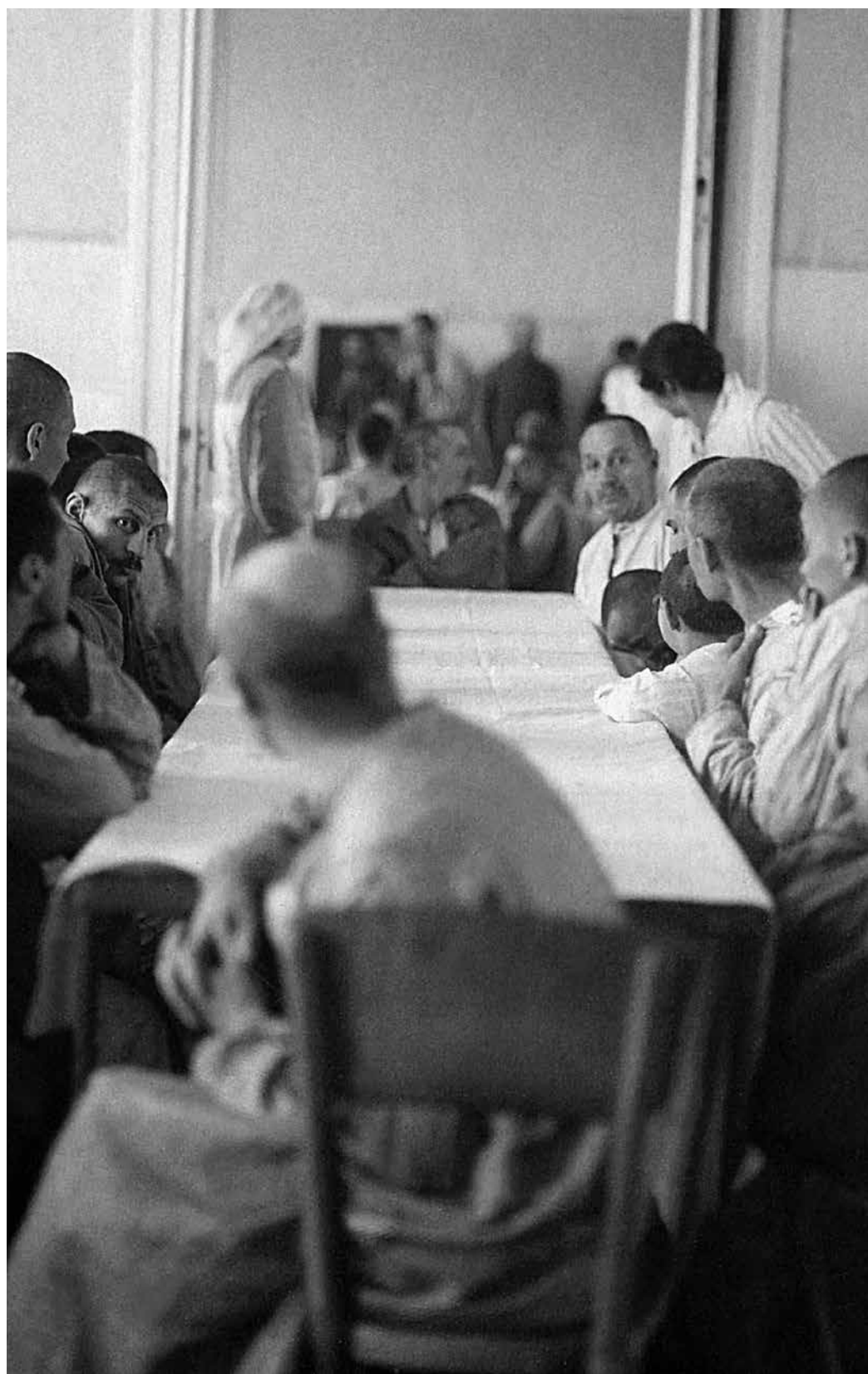
Dyrektorzy szpitala w Kobierzynie 320



Część pierwsza: lata 1916–1986

Na peryferiach życia





I Jest takie miejsce

Jest takie miejsce, dokąd potajemnie udają się ludzie i giną na jakiś czas z oczu znajomych. Wyjeżdżają tam na dłużej czy krócej, opuszczają swój dom jakby ukradkiem, nie informując, gdzie się wybierają, nie podając nikomu nowego adresu. Ich krewni czy przyjaciele, ci nieliczni, którzy wiedzą, dokąd wyjechali, nie zdradzają tego i w ogóle niechętnie o nich wówczas mówią. Zagadnięci o nieobecnego, który tak nagle zniknął z zakładu pracy, domu, podwórka, odpowiadają z zakłopotaniem, pokrętnie albo kłamliwie, jakby uczynił coś bardzo złego, kompromitując siebie oraz swoją rodzinę, coś, czego nie sposób mu wybaczyć, ale o czym nie chcą i nie mogą powiedzieć. Nie informują, w jaki sposób wyjechał – czy został zabrany siłą, wbrew swojej woli, czy też świadomie wybrał się w tę tajemniczą podróż. Nikt więc nie może się dowiedzieć, jak i gdzie teraz żyje ani w jakich warunkach przebywa.

On też, kiedy wróci, nie mówi nikomu, gdzie spędził ten czas. Na pytania, dokąd wyjechał, odpowiada wymijająco albo zbywa je milczeniem. Nie zwierza się, nie opowiada, jak tam było.

Jest takie miejsce – dawniej pod Krakowem, a obecnie, gdy miasto się rozrosło, na jego obrzeżach – dokąd od stu lat przybywają ludzie po to, by uporać się z samymi sobą: ze swoją psychozą, załamaniem nerwowym czy nałogiem. Nazywa się ono dzisiaj Szpital Specjalistyczny im. dr. Józefa Babińskiego, a potocznie – Kobierzyn. Podobne szpitale

Pacjenci w sali oddziału,
1918

Na poprzedniej stronie:
Pacjenci pracujący
w ogrodzie warzywnym.
W tle szklarnie belgijki oraz
budynki I A i I B, 1. poł. XX w.

psychiatryczne są także w innych dużych miastach lub w ich okolicach, ale ci, którzy nie muszą w nich przebywać ani odwiedzać najbliższych, omijają je trwożliwie. Nie chcą wiedzieć ani nawet dopuścić do siebie myśli, że każdy może tam kiedyś trafić.

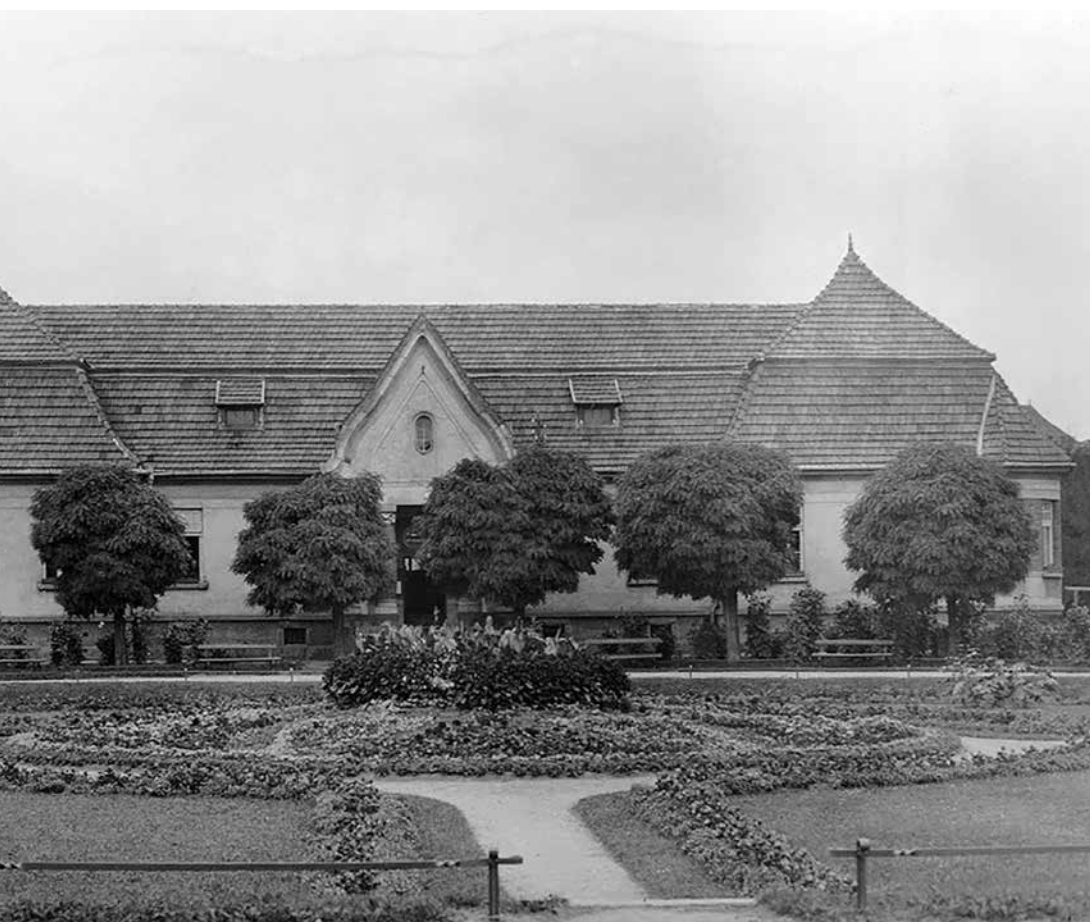
* * *

Szpital w Kobierzynie powstał przed wiekiem. Komu w czasach zaborów, kiedy Polski nie było na mapie, a bieda niejednemu z rodaków dawała zaznać głodu i zimna, przyszedł do głowy pomysł, by zadbać o chorych psychicznie i zbudować dla nich nowoczesny, jak na owe czasy, wielki szpital psychiatryczny? W całej Galicji był wówczas tylko jeden podobny, w Kulparkowie pod Lwowem.

Idea budowy lecznicy psychiatrycznej pod Krakowem zrodziła się już w 1903 roku. Zasady jej funkcjonowania opracowali wybitni polscy psychiatry: docent Jan Mazurkiewicz – pierwszy dyrektor tego szpitala, późniejszy twórca warszawskiej szkoły psychiatrycznej i rektor Uniwersytetu Warszawskiego, oraz profesor Jan Piltz – wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik Katedry Neurologii i Psychiatrii. Projekt kompleksu pawilonów stworzyli znani architekci: Władysław Klimczak, Zygmunt Jarlany, Andrzej Dodkowski, Tadeusz Zieliński oraz Antoni Budkowski. Oni też nadzorowali prace budowlane. Postanowili wznieść szpital nie tylko duży i funkcjonalny, ale także piękny. W styczniu 1907 roku galicyjski Sejm Krajowy uchwalił budowę Zakładu dla Nerwowo i Umysłowo Chorych, zapewniając na ten cel odpowiednie fundusze. Wybrano dla niego miejsce w podkrakowskiej wsi Kobierzyn, przeznaczając na ten cel pięćdziesiąt dwa hektary.

Ileż trzeba było wiedzy i umiejętności, a także starań i uporu, by stworzyć wówczas tak wspaniałe dzieło dla ludzi chorych – tych najbardziej bezbronnych i pogardzanych przez wieki. Władysław Klimczak, późniejszy profesor Politechniki Lwowskiej, tworząc plan architektoniczny szpitala, przyjął popularną wtedy w Europie ideę miasta ogrodu, najnowocześniejszą koncepcję zabudowy przestrzennej. Zespół szpitalny zyskał układ promienisto-koncentryczny, a widziany z lotu ptaka przybierał kształt





Centralne rondo
i budynek XIV (siedziba
administracji i izba
przyjęć), ok. 1930

motyla, na którego skrzydłach umieszczono symetrycznie piętnaście pawilonów szpitalnych dla ośmiuset chorych oraz blisko czterdzieści budynków administracyjnych, gospodarczych i mieszkalnych. Po jednej stronie tego kompleksu stanęły pawilony dla mężczyzn, po drugiej – dla kobiet. Oś główną zwieńczyło rondo, przy którym ulokowano budynek administracyjny, teatr zakładowy oraz willę dyrektora. Na obrzeżach terenu wzniesiono kaplicę i domy dla personelu: lekarzy, pielęgniarek i urzędników. W obrębie szpitala znalazły się również obiekty techniczne i gospodarcze: kotłownia, maszynownia, pralnia, kuchnia, oraz folwarczne: obora, stajnia, rzeźnia, ptaszarnia (kurniki) i stodoła. Część gruntu przeznaczono na uprawy rolne

i ogrodnicze oraz sad. Sprawny transport zapewniała utworzona przy szpitalu bocznicą kolejowa, a wewnątrz zespołu szpitalnego uruchomiono kolejkę wąskotorową, po której szynach jeździły wózki zaprzężone w konie. Szpital miał nowoczesną, jak na tamte czasy, infrastrukturę techniczną – własny wodociąg, kotłownię, instalacje centralnego ogrzewania, elektrownię zasilającą oświetlenie budynków i alejek, centralną kuchnię, piekarnię, pralnię i oczyszczalnię ścieków. Wybudowano również warsztaty do prac technicznych i terapii zajęciowej oraz boisko. W pewnej odległości od szpitala założono cmentarz. Budowę tego samowystarczającego miasteczka koordynował Tadeusz Stryjeński.

Do I wojny światowej wzniesiono wszystkie zaplanowane obiekty. Otwarcie szpitala nastąpiło w 1917 roku, jednak pacjentów zaczęto przyjmować dopiero po wojnie. W okresie międzywojennym wybudowano jeszcze pawilon na dwieście łóżek dla pacjentów, którzy po zakończeniu swojego leczenia zostali zatrudnieni do pracy na terenie szpitala, co wtedy było praktykowane.

Jak wyglądało wówczas to miejsce? – próbuję sobie wyobrazić, spacerując po parku i przyglądając się kolejnym budynkom.

Opisała je Leokadia Wyspiańska z domu Wiercik, która urodziła się w rodzinie mieszkającej na terenie zespołu szpitalnego i tu spędziła dzieciństwo. Elżbieta Galus zamieściła jej wspomnienia w pracy pod tytułem *Kobierzyn. Powrót do wspomnień i historii*, wydanej w Krakowie w 2009 roku.

„Zakład ten był wyjątkowo pięknie utrzymany – pisze autorka. – Kompleks budynków z przeznaczeniem dla pacjentów, jako pawilony chorych, ponumerowane od I do IX, z oznaczeniami A dla mężczyzn i B dla kobiet, usytuowany był w świeżo zadrzewionej parkowej części, przylegającej jednym bokiem do bardzo rozległego, z wielką starannością utrzymanego ogrodu warzywno-owocowego. Drugi bok tego kompleksu przylegał do lasu i folwarku. Przeznaczenie pawilonów chorych było zróżnicowane: pawilony I – dla chorych na gruźlicę, pawilony II – dla podsądnych, pawilony III – dla niespokojnych, pawilony IV – dla pracujących, pawilony V – dla chronicznych, pawilony VI – obserwacyjne, pawilony VII – klasowe [dla zamożniejszych], pawilon VIII – jaglicowy, pawilon IX – zakaźny.

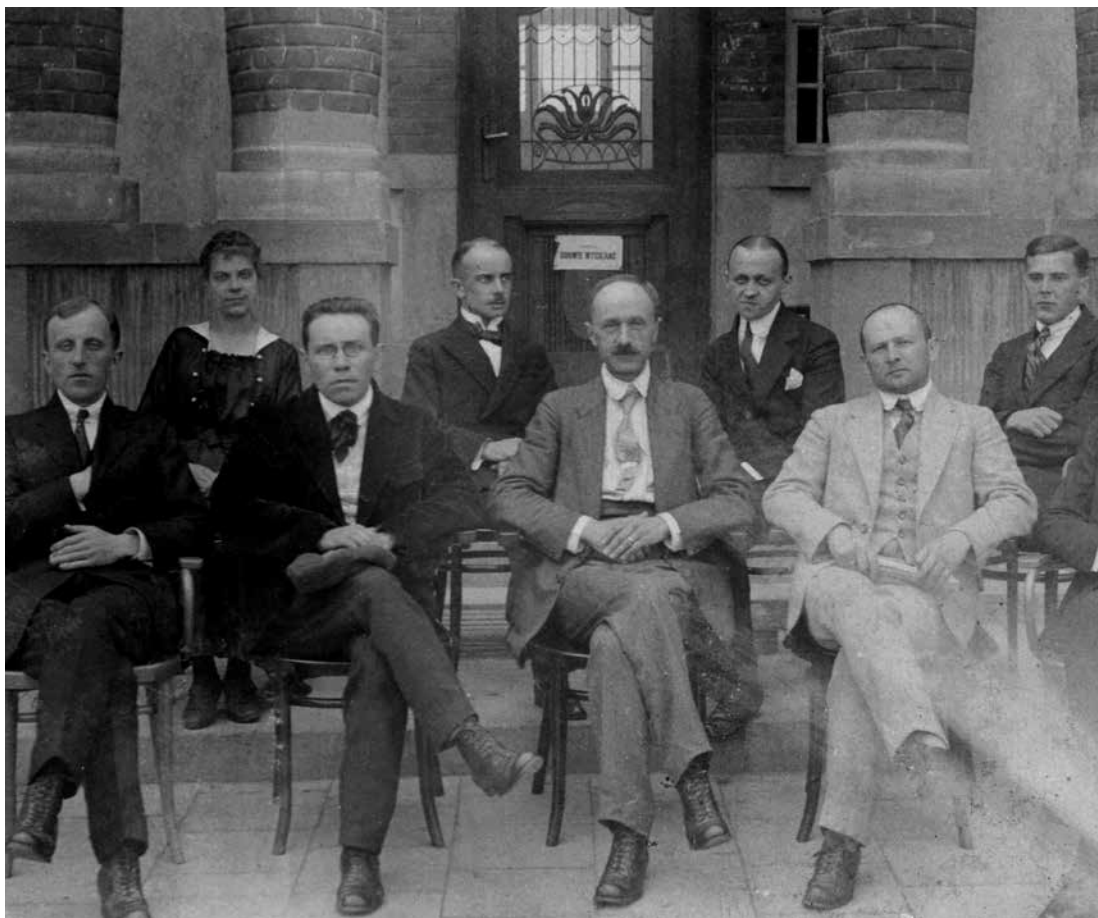
Wyposażenie Zakładu i utrzymanie personelu finansowane było przez Krajowy Fundusz z siedzibą we Lwowie. Ogród i folwark dostarczały pacjentom, jak i pracownikom, wyżywienia.

Pawilony szpitalne kryte były dachówkami koloru czerwonego, w odróżnieniu od granatowych dachów budynków mieszkalnych i gospodarczych, usytuowanych w części frontowej, idąc od bramy głównej. Budynki mieszkalne tonęły w kwiecistych ogrodach, pielęgnowanych przez pracowników.

Pomiędzy częścią szpitalną a pracowniczą zlokalizowane były budynki gospodarcze, bardzo ładny i okazały budynek teatru nazywany domem zabaw, reprezentacyjny pałacyk biurowy, apteka, dalej – kuchnia, piekarnia, pralnia, kotłownia, maszynownia, kuźnia, garaże i warsztaty. Teren przecinały drogi i ścieżki. Na zawsze pozostaną mi w pamięci aleje wysadzone pięknymi drzewami. Aleję główną, dojazdową do budynku biurowego zdobiły krategusy, pięknie kwitnące w okresie lata. Tworzyły one czerwono-różowo-zielony szpaler. Na całej długości alei pod krategusami biegł równo przyszczyżony żywopłot, zasłaniając przed okiem przybysza część folwarczną, leżącą na prawo w dół. Na ścianie żywopłotu – rabata pnących róż zachwycała przechodniów swoją elegancją. Przed administracją, na klombie, wysadzano w lecie mozaikę wymyślnych kwiatów i ozdobnych roślin, z wielką palmą pośrodku. W okresie Bożego Narodzenia miejsce palmy zajmowała wysoka, kolorowa choinka. Wszystkie te cudowności były dziełem rąk ogrodników pod kierunkiem niezastąpionego Józefa Chojkowskiego”.

Leokadia Wyspiańska opisuje też inne ukwiecone aleje: brzoźową, klonową, topolową, jarzębinową. Zresztą, jej zdaniem, w całym kompleksie takich uroczych miejsc było więcej: „Kolejka wąskotorowa, po szynach której jechały wagoniki dostarczające, głównie z kuchni centralnej, posiłki dla chorych na oddziały. Każdy oddział posiadał swój wagonik z odpowiednim numerkiem. Na tle tej przepięknej scenerii, na linii przedziału terenu szpitala, na małym wzniesieniu, stała kaplica wyjątkowej urody architektonicznej, pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej”.

Wyspiańska przytacza też sprawozdanie za rok 1928, podpisane przez drugiego dyrektora szpitala – Władysława Stryjeńskiego, syna architekta Tadeusza Stryjeńskiego. Wynika z niego,



Lekarze przed budynkiem xiv.
W środku dr Władysław
Stryjeński, lata 30. xx w.

że pracowało tu wówczas siedmiu lekarzy i trzech praktykujących absolwentów medycyny oraz stu pięćdziesięciosobowy personel pielęgniarski. Przeciętnie dziennie w lecznicy przebywało pięciuset trzydziestu dwóch mężczyzn i trzysta sześćdziesiąt pięć kobiet, czyli ośmiuset dziewięćdziesięciu siedmiu pacjentów. Ważną formą terapii była praca – chorzy, po uwzględnieniu ich stanu zdrowia i zgodnie z zamiłowaniem, byli angażowani do różnych zadań, pracowali więc w ogrodzie, w parku, w polu, w drukarni lub introligatorni, w warsztatach: tkackim, szewskim, stolarskim, krawieckim, a kobiety także w kuchni. Pacjentki zajmowały się też wyrabianiem guzików, haftem, koronkami oraz szyciem.



Od początku istnienia szpitala pracowały w nim siostry zakonne z Dębicy ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Bogarodzicy Dziewicy Niepokalanie Poczętej. Było ich sześćdziesiąt: dwadzieścia opiekowało się chorymi, a pozostałe nadzorowały pracę w budynkach gospodarczych. Zakonnice były siostrami oddziałowymi na każdym oddziale, piastowały także wszystkie stanowiska kierownicze w części gospodarczej – w aptece, magazynach gospodarczym i żywnościowym, pralni, kuchni, na folwarku, zajmowały się też dziećmi pracowników przebywającymi w ochronce. Kapelanem był wówczas ksiądz Ignacy Żyła.

Tętniło tu wtedy życie kulturalne, rozrywkowe, sportowe, odbywały się różne uroczystości, w których brali udział pracownicy szpitala i pacjenci. Uczestniczyła w nich Zakładowa Straż Pożarna, orkiestra oraz chór męski. Na boisku grano w siatkówkę i tenisa. Była też kręgielnia, a zimą – lodowisko. W niedziele organizowano wycieczki konnymi wozami do Krakowa, zwykle nad Wisłę, zimą zaś kuligi. W teatrze wystawiano sztuki – grały w nich dzieci pracowników szpitala, młodzież i dorośli. Odbywały się bale i zabawy, w których uczestniczyli personel i pacjenci.

Zachowały się fragmenty reportażu z kobierzyńskiego szpitala autorstwa Janusza Marii Brzeskiego, pod tytułem *Wioska obłąkanych*, zamieszczonego 15 czerwca 1935 roku w dodatku do numeru 194 „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”. Oto jak wyglądał wtedy szpital widziany oczami reportażysty:

„[...] 1935 rok [...] Odwiedzam Kobierzyn... Jestem w obłąkanej wsi, której rozmiarów jeszcze nie znam. Przede mną duży, czysty dom administracji [...]. Na ścianie wisi wielka, kolorowa mapa Zakładu, ze zdumieniem spoglądam na nią: elektrownia, folwark, domy administracji i doktorów, pawilony, wiele pawilonów [...]. Wreszcie doktor wraca.

– Mamy tu 1150 chorych, zakład nasz przeznaczony i zbudowany na 550 chorych jest więc przepełniony [...]. Niech pan doliczy lekarzy, personel, służbę, razem blisko 2000 osób. [...] Wskutek tego przepełnienia nie przyjmujemy wszystkich, którzy się zgłaszają. Jeśli wiemy, że chory nie jest niebezpieczny dla otoczenia, nie znajduje miejsca w zakładzie [...]. Chory nerwowo – ciągnie

dalej doktor – był dawniej i jest jeszcze dziś powodem kpin i dokuczliwych żartów. Czasem myślę, że chyba bardziej nieznośni są ludzie zdrowi, tem bardziej, że ich postępowanie wobec chorego jest niczym nie umotywowane... Czyż nie wszystko jedno, na co się choruje, aby być godnym współczucia i opieki? [...]

Stajemy przed wejściem do pawilonu rozpoznawczego. Wszyscy chorzy, którzy tu przybywają, zostają umieszczeni właśnie w tym pawilonie [...]. Doktor wyjmuje klucz. Kluczem tym będzie otwierał wszystkie drzwi i zamki w całym Kobierzynie. [...] już tylko jedno drzwi dzieli mnie od sali obłąkanych [...].

– [...] Niech pan spojrzy – ciągnie lekarz, wskazując pokoik obok. – To umywalnia. Wanna pozbawiona jest kranów [...]. Chorych, którzy przybywają, przebieramy w ubrania szpitalne, kąpiemy, dezynfekujemy. Nieraz przyjeżdżają w okropnym stanie. Dawno minęły czasy, kiedy wieś zachowywała rezerwę i była nieufna. Dziś sami przywożą swych chorych [...].

Klamka, jak wszystkie w zakładzie, ma dość dziwny kształt. Jest bardzo gładka, nie odstaje od drzwi i opada stromo w dół. To dlatego, żeby nie można się było na niej powiesić [...]. Wchodzimy do sali tak zwanej dziennej, stoły, krzesła. Drzwi na taras otwarte. Wszyscy prawie chorzy są w ogrodzie. Snują się po trawnikach lub stoją nieruchomo. Jeden z nich podchodzi do nas i wita się.

– Uszanowanie panu – mówi do mnie.

– Dzień dobry – odpowiadam i patrzę w jego oczy. Są niebieskie i bardzo mętne. Chory oddala się jak cień. W oknach nie ma krat i trochę mnie to dziwi.

– Niech pan będzie spokojny – mówi doktor. – Szyby są bardzo grube i umocowane [...]. Nie drażni to chorego. Nie stwarza atmosfery więzienia [...]. Nigdzie nie ma murów. Chorzy mają pełne poczucie swobody. W całym zakładzie, we wszystkich pawilonach, panuje zdumiewająca czystość. Poznałem [...] potęgę nauki i [...] ogrom ludzkiego nieszczęścia i bólu. Oglądam celę dla podrażnionych. Drzwi podwójne z małą szybką. To jedyne okienko, tak zwany judasz. Kaloryfery ukryte w ścianach [...].

W pewnej chwili doktor otwiera kluczem jakieś drzwi. Przygłuszone dotychczas, nieludzkie ryki przybierają na sile. Przed nami obszerny pokój. Wokół ciężkie wanny wbudowane w podłogę.

Kilku chorych siedzi w wodzie, kilku innych stoi na środku łaźni. Niektórzy krzyczą, wymachują rękami. Obok, w przejściu, oparty o ścianę, stoi niski, dobrze zbudowany mężczyzna. Jest nagi jak inni. Gdy mnie widzi, mówi:

– Pan przyjechał z Ameryki... To dobrze, najwyższy czas”.

Na własne oczy

Kiedy Janusz Maria Brzeski w połowie 1935 roku odwiedził szpital w Kobierzynie, wśród personelu wykonującego najbardziej uciążliwe prace przy chorych była dwudziestoczteroletnia Janina Sroka. Poznałam ją ponad pół wieku później, gdy zbierałam w tym szpitalu materiał do napisania kolejnego reportażu. Była już wtedy emerytowaną pielęgniarką, ale nadal pracowała, przebywając przez cały czas, jak dawniej, z pacjentami. Opowiedziała mi o chorych, zmieniających się metodach leczenia i ważniejszych wydarzeniach z historii szpitala, w których uczestniczyła w ciągu minionych pięćdziesięciu dwóch lat. Wszystko, o czym mówiła, widziała na własne oczy.

* * *

– Inaczej tu było przed pół wiekiem, nie tak cicho jak dzisiaj – zaczęła swoje wspomnienia pani Janina. – Słyszało się krzyki, hałasy, wręcz nieludzkie głosy pacjentów. Bo wtedy nie było jeszcze leków psychotropowych, a bez nich trudno sobie radzić z chorymi w szale.

– Dlaczego się ich boimy? – pytam.

– Ja się nie boję chorych psychicznie – oświadcza pani Jasia. – Tylko mi ich żal. Przyszłam tędy – wskazuje na równą, asfaltową alejkę między młodymi drzewami, wiodącą od bramy szpitalnej – 18 sierpnia 1934 roku – mówi zdziwiona upływem czasu. – I nadal pracuję, na pół etatu, bo jestem już na emeryturze. Nie wiem, skąd mam tyle siły – przyznaje z uśmiechem.

Patrzę na jej zapisaną zmarszczkami twarz o regularnych rysach, siwe włosy gładko zaczesane i spięte w kok, lekko podkrążone oczy i usiłuję sobie wyobrazić, jak wyglądała, gdy szła tą alejką z nadzieją otrzymania pracy.

– Te drzewa były jeszcze małe, wiatr szarpał welonami zakonnic – wspomina, rozglądając się wokół. – Bo pielęgniarkami od początku istnienia szpitala były tylko zakonnice, siostry służebniczki z Dębicy. Budynki już stały, tak jak teraz, potem zbudowano pawilon, gdzie mieści się oddział v c, a po wojnie jeszcze jeden. Przyjmował mnie dyrektor Władysław Stryjeński, był dostojny, surowy. Cieszyłam się, że tu będę zatrudniona, wtedy ludzie szanowali pracę. Skierowano mnie na oddział vi b.

Początki były straszne. Patrzyłam na zezwierżeczenie człowieka dotkniętego chorobą psychiczną i nie mogłam powstrzymać się od łez. Wśród pierwszych pacjentek, którymi się opiekowałam, była zakonnica – zbierała robaki w ogrodzie i zjadała je. Inna znów chora jadła żabki, a było ich tu wtedy mnóstwo. Ordynator, widząc mnie ciągle we łzach, zastanawiał się, czy w ogóle powinnam tu zostać. Pamiętałam słowa księdza z mojej parafii – gdy dawał mi świadectwo moralności wymagane przy zatrudnieniu, powiedział: „Zastanów się, do jakich idziesz chorych”. Jednak nawet on mnie nie powstrzymał, bo ja chciałam pracować w tym szpitalu, koniecznie. Tak się cieszyłam, gdy znajoma matki, która tu sprzątała, poleciła mnie, to jakże bym mogła zrezygnować?

Tu było kiedyś ładniej niż dziś, wszędzie klomby kwiatów, a dróżki tak równe, jakby je nakreślono od linijki, wygładzone, ubite walcami. Czyściutko i kolorowo, jak w rajach – mówi pani Janina, patrząc na otaczające nas drzewa. – Nie widziało się na ścieżce nawet kamyczka. Do kuchni każdego oddziału prowadziły szyny, po nich jechały wózki z żywnością, estetyczne, szczelnie zamykane. W salach było pełno kwiatów, stały między łózkami fikusy, palmy, filodendrony. Przestrzeni było więcej, bo przyjmowano mniej chorych. Może ludzie wówczas tak często nie chorowali psychicznie jak dziś? A może ich nie przywożono do szpitala? Leczenie kosztowało. Pacjenci, którzy płacili większe kwoty, tak zwani klasowi, mieli lepsze jedzenie, a personel, czyli – jak to się kiedyś mówiło – służba szpitalna, musiał spełniać każde ich życzenie.





W tamtych czasach wstydzono się chorych psychicznie, krewni chowali ich przed ludźmi, czasem zamykali. Bywało, że latami trzymali ich w stajni, w klatce czy komórce, jak zwierzęta. Przywożono do nas chorych w strasznym stanie, wyniszczonych, brudnych, zawszonych. By ich uspokoić, nalewało się w łazience ciepłej wody do wanny i godzinami się ich tam trzymało, pilnując przez cały czas. Oprawione w drewno termometry wskazywały temperaturę wody, kiedy już była chłodna, dolewało się ciepłej. Był to wówczas jedyny sposób postępowania z pacjentami w szale. Proszę sobie wyobrazić trzech czy czterech chorych w wannach, rękami i nogami rozbryzgujących wodę. Jak sobie z nimi poradzić? A nie wolno było nikogo z nich uderzyć, za to zwalniano z pracy. Raz

Łazienka na oddziale stacjonarnym, 1. poł. XX w.

pacjentka tak mnie pobiła, że dwa tygodnie chorowałam, porwała na mnie fartuch, sukienkę, inna znów wyrwała mi pęk włosów z głowy, bo ubzduriała sobie, że jestem kochanką jej męża. Trzeba było wszystko ścierpieć, cóż ona jest winna? To choroba.

Drugim sposobem leczenia była praca. Każdy sprawny chory, z którym można było nawiązać kontakt, pracował w warsztatach szpitalnych – szewskim, tkackim, krawieckim czy wikliniarskim, była też drukarnia i introligatornia. Salowi, którzy znali się na takiej pracy, uczyli jej chorych. Robili ładne rzeczy. A jeśli pacjent był tak bardzo chory, że nie potrafił zrobić niczego pożytecznego, wykonywał proste czynności, na przykład wyciągał nitki ze zbędnego materiału, aby tylko nie siedzieć beczynnym. Oczywiście, trzeba było ciągle mieć ich na oku, zwłaszcza tych, którzy trzymali w ręku igłę, bo niektóre pacjentki wbijały ją sobie w ciało. Tylko podleczone otrzymywały druty albo szydełka, a i tych nie można było pozostawić bez opieki. Zdrowsi, pod okiem salowych, wychodzili do pracy w ogrodzie lub porządkowali teren szpitala. Prawie wszyscy chorzy pracowali, to było świetne lekarstwo.

W soboty i niedziele, popołudniami, pacjenci i służba szpitalna urządzali wspólne zabawy. Bo personel mieszkał przecież tu, na miejscu, w obiektach wzniesionych dla pracowników. W budynku specjalnie przeznaczonym na teatr odbywały się występy zespołu teatralnego szpitala i prezentacje zaproszonych grup. Mieliśmy nawet własną orkiestrę, jeden zespół muzyczny tworzyli pacjenci, w drugim była także służba szpitalna. Niektórzy lekarze grali na fortepianie, były tańce, śpiewy.

Chorzy też potrafili się bawić. W dużej sali teatralnej ustawiali się muzykanci, zwykle była to orkiestra złożona z pacjentów i salowych. Grali i wtedy zaczynały się tańce.

Największe powodzenie miała Frydzia, przebywała tu przez całe lata. Była Czeszką z pochodzenia, do końca kaleczyła mowę polską. Ubierała się w krakowski strój, nakładała gorset, spódniczkę w kwiatki, fartuszek i korale, które kupiła jej służba zakładowa, i szła w tany z takim jak ona chorym, zezowatym chłopakiem. Świetnie tańczyli, wszystkich bawili tym tańcem i śpiewem. Frydzia tryskała radością, śpiewała czeskie przyśpiewki. Chyba miała zmysł artystyczny, bo szyła w warsztacie piękne lalki.

Nawet chorzy z obniżonym nastrojem na zabawach ożywiali się, tańczyli, zalecali do siebie. Trzeba było ich pilnować, by nie przebrali miarki, bo przecież to byli mężczyźni i kobiety. Służba też się bawiła z pacjentami, ale równocześnie miała ich na oku.

Razem z chorymi przygotowywaliśmy sztuki na scenę, lekkie, zabawne przedstawienia, a raz w roku – jasełka. Odgrywano je przy wykonanej w naszym warsztacie szopce, z figurkami zrobionymi z chleba. Pacjenci dostawali zwykle drugorzędne role, jakich byli się w stanie nauczyć, ale grali, a to ich cieszyło i leczyło zarazem. To była doskonała terapia, szkoda, że dzisiaj rzadziej się ją stosuje, tylko czasem organizuje się zabawy na oddziałach.

Pokażę pani zdjęcia z albumu, który wypożyczyłam od naszej przełożonej Stasi Lebicy. Prowadziła go Zosia Wasyl, nieżyjąca już pielęgniarka. – Pani Jasia sięga po album.

Na starych fotografiach, różniących się od dzisiejszych jak antyczne meble od meblościanek czy zabytkowa architektura od bloków mieszkalnych, widzę postacie leczonych i leczących, którzy przed półwieczem przebywali w kobierzyńskim szpitalu. Na pierwszym zdjęciu – widok szpitala z wieży kaplicy, zatrzymany na kliszy w 1924 roku. Rzeczywiście, dzisiejsze drzewa były jeszcze małe, pewnie dlatego budynki wydawały się okazalsze. Na innym ujęciu stoją dziewczęta w dziwnych nakryciach głowy, wpatrzona z napięciem w obiektyw. Na kolejnym – szpitalna orkiestra. To znów grupa lekarzy, pacjentów i pielęgniarek. Wielka szopka, niosą ją z dumą pacjenci – pani Janina objaśnia, że są to ci, którzy ją wykonali. Na kolejnej fotografii widać dzieci ze zmienionymi chorobą oczyma, leczone kiedyś w tym szpitalu. Staromodne stroje i fryzury, dawny, zapomniany świat.

– Wtedy personel był bardziej zdyscyplinowany – twierdzi pani Janina, zamykając album. – Pielęgniarkami były służebniczki z dębickiego zakonu. Dobierały sobie salowe spośród dziewcząt szukających pracy. A miały z kogo wybrać, bo chętnych nie brakowało. Nasza oddziałowa zatrudniała tylko dziewczyny zbliżone wzrostem, raczej wysokie, młode, zdrowe. Było nas dwadzieścia, ubierałyśmy się w perkalikowe sukienki, białe fartuszki i tak nakrywałyśmy głowy, by nie było widać włosów, choć to było męczące, zwłaszcza w upalne dni.

Mieszkałyśmy na terenie oddziału, więc w każdej chwili mogli nas wezwać do chorego. Trzeba było znać na pamięć wymiary każdego pacjenta, jego wagę, wzrost, obwody klatki i głowy, bo lekarz mógł o to zapytać. A tak było czysto, że w podłodze można było się przeglądać. Dyrektor w białych rękawiczkach sprawdzał, czy na sprzętach nie został kurz. Nie było mowy, by zdrzemnąć się w czasie dyżuru. Na każdym piętrze wmontowano zegar kontrolny, trzeba było co piętnaście minut nacisnąć guziczek na jego papierowej tarczy, a rano lekarz oglądał te zegary, by się przekonać, czy któraś salowa nie spała.

Pracowałyśmy od szóstej rano do dziewiątej wieczorem, tylko co dziesiąty dzień był wolny. Wykorzystywano nas do ostatnich granic, nawet w wolny dzień trzeba było rano nakarmić chorych, pomóc w robieniu porządków i dopiero wtedy można było pojechać do miasta. Wieczorem, o godzinie dwudziestej drugiej, wszystkie musiałyśmy być w swoich pokojach. Po parku chodzili stróże z psami i gwizdaniem oznajmiali porę nocną, wtedy należało przerwać każdą pracę wykonywaną na zewnątrz, czy też randkę, i pędzić do pokoju, bo zamykano wszystkie drzwi, a bramę szpitalną na dwuspustowy zamek. Czasem, gdy drzwi były już zamknięte, wpuszczałam koleżanki oknem. – Moja rozmówczyni śmieje się na wspomnienie zabawnych sytuacji z młodości. – Pani wie, co ja wtedy miałam w głowie? Jakie żarty się mnie trzymały? Raz przebrałam się za mężczyznę, w ubranie jakiegoś salowego, przykleiłam sobie wąsy zrobione z kawałka kozucha i kiedy zakonnice wracały z kaplicy, rzuciłam się je całować. Jak się przestraszyły, jak uciekały! Rozpoznały mnie, jedna z nich przysła za mną do pokoju i spytała: „Ciekawe, jak ty się będziesz spowiadać z takich żartów?”. A ja pomyślałam: miałabym księdzu takimi głupstwami głowę zawracać?

Jedzenie było wtedy dobre, trzy rodzaje chleba do wyboru: biały, pszenny i razowy. Codziennie na obiad mięso, w post ryba albo jajka. Pacjenci, którzy pracowali, dostawali dodatkowo drugie śniadanie i podwieczorek. Zarobki były duże, służba etatowa otrzymywała sto dwadzieścia złotych miesięcznie, za tę kwotę można było kupić krowę. Gdy się sumiennie pracowało, przełożeni doceniali, dawali awans. Salowa po zamążpójściu pracowała

tylko trzy miesiące, mężatki raczej nie były zatrudniane, ale taka, która została awansowana już przed ślubem, mogła potem wrócić do zakładu. Słyszało się jednak, że otoczenie chorych psychicznie może źle wpływać na rozwój dziecka w łonie matki, nawet niektórzy lekarze to potwierdzali.

Uczyłyśmy się zawodu, organizowano kursy pielęgniarskie, lecz siostry zakonne dbały o to, by zwykła, świecka dziewczyna nie została pielęgniarką w zakładzie. Zakonnice były na ogół troskliwymi pracownicami, surowymi, zdyscyplinowanymi, sumiennymi, ale i wymagającymi. Niektóre bardzo poświęcały się dla chorych, lecz zdarzały się też mniej serdeczne i lubiane.

W tamtych czasach lekarze mówili, że choroba psychiczna jest chorobą duszy. Inne były treści urojeń, bo inny był świat. Wielu chorych utrzymywało, że są świętymi, może dlatego, że ludzie byli bardziej religijni, dużo też było urojeń na tle miłości czy zazdrości. Alkoholików jeszcze tu wtedy nie leczono. Przeważały psychozy, często na tle zmian pourazowych mózgu, schizofrenii też było niemało. Niewiele wiedziano o przyczynach chorób psychicznych, zresztą dotąd psychiatria bywa często bezradna wobec ludzkiego cierpienia.

Tu, gdzie jest apteka, na piętrze, była przed wojną pracownia, w której hodowano króliki i inne zwierzęta doświadczalne. Raz zobaczyłam tam coś, co mną wstrząsnęło – w wielkich, glinianych garach, większych niż wiadra, były mózgi zmarłych pacjentów, zalane formaliną. Doktor Juliusz Dletrel badał je, bo wierzono wtedy, że w ten sposób można wykryć przyczyny chorób psychicznych.

Z początku nie mieliśmy żadnych leków, poza wzmacniającymi, nasercowymi czy neurotoniną, ani nawet kaftanów bezpieczeństwa czy pasów, toteż zdarzało się, że chorzy demolowali sale, personel był atakowany, szyby powybijane. Dopiero tuż przed wojną wprowadzono pasy. Nie, to nie były, Boże broń, pasy do bicia – śmieje się pani Janina, widząc moje zdumienie. – Metoda ta polegała na uspokojeniu chorego za pomocą mokrych prześcieradeł, którymi owijano go jak mumię i pozostawiano na dwie godziny, okrywając poduszkami, by się nie przeziębził. Czasem posypywano prześcieradło solą – przyznaje, niepewna, czy

powinna mi o tym wspominać. – Ja uważam, że tak nie można postępować z chorymi, sól piecze ciało, sprawia ból, ale gdy nie dawaliśmy sobie z nimi rady, uciekano się i do tego sposobu. Służba robiła to skrycie, lecz znam też lekarza, który kazał posypywać solą prześcieradło. Chorzy bywają bardzo dokuczliwi, niekiedy nawet niebezpieczni, trzeba wielkiej cierpliwości, by nie dać się ponieść nerwom. Przypominam sobie pacjenta, który zamierzał oślepić lekarzkę gorącym żelazem za to, że wniosła o jego ubezwłasnowolnienie. Na szczęście nieco wcześniej przewróciła się i złamała nogę, a on uznał, że jest to właśnie kara za jego krzywdę. Inny, nim go tu przywieziono, ranił przypadkowego mężczyznę, w przekonaniu, że jest kochankiem jego żony, i na skutek tego znalazł się w więzieniu. Była u nas młoda kobieta, która doznała szoku w czasie pożaru domu, chodziła od sali do sali, patrzyła w okno i krzyczała: „Pali się!”. Pamiętam też pacjentkę, która zamordowała swoje dziecko, kiedy starsze były w ogrodzie. Mąż ją strasznie pobił, a potem przywiózł do nas. Długo milczała, zupełnie zamknęła się w sobie, dopiero pewnej nocy, gdy miałam dyżur, zwierzyła mi się ze swojej tajemnicy – była przekonana, że wszystkie jej dzieci zostaną potępione, więc żeby je przed tym uchronić, dopuściła się zabójstwa. Kiedy psychoza minęła i kobieta pojęła swoje nieszczęście, zaczęła popadać w depresję. Podobno po wypisaniu ze szpitala odebrała sobie życie.

Gdy tylko mam trochę czasu, zawsze chętnie rozmawiam z chorymi, opowiadają mi tak dziwne historie, że zdrowy człowiek z trudem je pojmuje. Trzeba dobrze natężyć wyobraźnię, by przyswoić sobie to, o czym mówią. I nie można pozostawiać ich samych, zwłaszcza tych, którzy mają myśli samobójcze. Przed wojną nawet ustępy znajdowały się w salach, za parawanami. Jedna z pacjentek podpaliła w ubikacji słomę wyciągniętą po kryjomu z siennika i tak mocno się poparzyła, że nie udało się jej uratować. Pacjenci ze skłonnościami samobójczymi są sprytni, przebiegli, nie rozgłaszają swoich zamiarów. Natomiast ci, którzy zapowiadają, że się zabijają, zwykle nie mają na to odwagi. Najgorsze są noce, gdy czujność personelu jest nieco uspiona, chory może to wykorzystać. Nie docenia się często jego inteligencji, a bywa, że przechytrzy wszystkich i zrobi to, co zaplanował.





W czasie odwiedzin zawsze ktoś ze służby stał przy odwiedzanym pacjencie, takie było zarządzenie, odkąd pewien mężczyzna otruł swoją żonę, która się u nas leczyła. Przyszedł do szpitala, by skrócić jej życie, widocznie uważał je za bezwartościowe, a potem sam zażył truciznę. Wtedy nie znano jeszcze tak skutecznych sposobów ratowania człowieka jak obecnie, nie stosowano takich jak dzisiaj metod reanimacji.

Pierwsi pacjenci szpitala,
ok. 1918

Od młodości patrzyłam na tragedię ludzi psychicznie chorych, żywałam się z nimi i było mi ich żal. Może dlatego nie czułam się samotna, chociaż straciłam bliskich. Ojciec zmarł, gdy byłam piętnastoletnią dziewczyną, po kilku latach matka, potem młodsza siostra. Brat wyjechał do Ostrowca Świętokrzyskiego,

druga siostra do Gdańska. Ale tu, w szpitalu, nie wolno rozczulać się nad sobą, dodawać do nieszczęść chorych swoich własnych. Oni bywają przecież bardziej samotni, niektórych nikt nie odwiedza.

Pacjenci zwykle cieszą się z wizyt, ale niektórzy nawet nie chcą słyszeć o opuszczeniu szpitala. Wszyscy jednak odczuwają swoje osamotnienie, inność i izolację. Może tylko chronicznie chorzy pozostają obojętni, choć kto wie... Trzeba umieć w każdej sytuacji pocieszyć chorego, nie wolno go zbywać. Oni, jak dzieci, instynktownie odczuwają życzliwość, lgną do tego, kto jest dla nich serdeczny.

Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, że leczył się tu, na moim oddziale, syn znanego malarza, inteligentny, miły, ale w psychozie bardzo dokuczliwy, czasem nawet przerażający. Miał po ojcu artystyczne usposobienie, wykonywał różne piękne przedmioty, rzeźbił, zajmował się introligatorstwem. Najchętniej jednak łapał motyle, a były tu piękne okazy, jakich już po wojnie nie widziałam. Stał godzinami pod drzewem, wpatrzony w jakiegoś motyla. Nie lubił kobiet. Gdy któraś nadchodziła, odwracał się. Byli tu także inni chorzy z zamożnych rodzin, bo choroba, proszę pani, nie wybiera, a gdy dopadnie, można polegać tylko na rzetelności i odpowiedzialności innego człowieka.

Wojna

Wojska niemieckie weszły do szpitala 6 września 1939 roku. Nim Niemcy przejęli zakład, dyrektor Władysław Stryjeński wyjechał z synem do Szwajcarii. Pierwszym dyrektorem ustanowionym przez Niemców został kupiec Arnold Zweck; w październiku 1940 roku zastąpił go Aleksander Kroll. Z początkiem wojny w lecznicy było blisko tysiąc chorych. Personel i pacjenci opuszczali szpital. Spośród zatrudnionych tu lekarzy pozostała doktor Wera Morawska, na której polecenie oddziały zostały otwarte. Z czasem część personelu i chorych wróciła. Niemcy pozwolili odejść zakonnicom, ale siostry zdecydowały się pozostać z pacjentami. Kaplicę szpitalną zamieniono

na magazyn. W maju 1942 roku zakład przeznaczono na obóz dla młodzieży niemieckiej z Hitlerjugend, wybudowano dla niej baraki. Od września 1939 do czerwca 1942 roku w kobierzyńskim szpitalu z powodu głodu i wyniszczenia zmarło około stu osób. 23 czerwca 1942 roku pięćset trzydziestu pięciu chorych wywieziono do Oświęcimia, a trzydziestu pacjentów będących w ciężkim stanie zabito na miejscu. Ośrodek zamieniono wówczas na szpital ss, a pozostały personel wysiedlono do pobliskich wsi. W marcu 1945 roku lecznicę zajęły wojska rosyjskie i przeznaczyły dla swoich rannych. Po wojnie szpital zwrócono pacjentom, dla których go wybudowano – oficjalne otwarcie Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych nastąpiło 1 czerwca 1946 roku.

– Tu zastała mnie wojna – mówi pani Janina Sroka, stojąc w korytarzu pawilonu oddziału v b. Pacjentki przyglądają się nam z zaciekawieniem, podchodzą drobnym, posuwistym kroczkiem, w ich zmienionych chorobą twarzach bez mimiki i w niespokojnych oczach czają się resztki niewygaszonego pigułkami lęku. Przez otwarte drzwi widać leżącą w sali chorą, któraś z pacjentek szepce mi do ucha, że tamta wyskoczyła oknem z siódmego piętra i złamała kręgosłup. W pobliżu niej siedzi młoda, tęga dziewczyna – spuściła głowę i nienaturalnymi dla rodzaju ludzkiego odgłosami przypomina o swoim istnieniu. Kilka pacjentek snuje się po sali, pozostałe słuchają naszej rozmowy. Pani Janina najwidoczniej przywykła do tych przytłoczonych chorobą postaci i ich nieobecnego wzroku.

– Wtedy w oknach nie było firanek – zauważa, rozglądając się. – Chorzy dłużej znajdowali się w ostrej psychozie, bo, jak wspomniałam, nie było leków, więc nie oszczędziliby nawet firanki. Tam był dzwonek, tu zegar, w tej drugiej, mniejszej sali łątało się bieliznę i pościel szpitalną. Pokażę pani, gdzie mieszkaliśmy. – Prowadzi mnie na korytarz i wskazuje ścianę. – Drzwi zamurowano – stwierdza zdziwiona. – Były, o, tu. „Szałowe” pacjentki umieszczaliśmy na parterze, podleczone na górze.

W czasie wojny było tu strasznie – mówi cicho, by chore nie usłyszały. – Gdy zaczęło się bombardowanie, modliłam się za zakonnicą w kaplicy. Ludzie uciekali przed Niemcami na wschód.

Prawie cała służba szpitalna odeszła, z salowych zostałyśmy tylko we dwie, ja i Kazia Szczur, chyba jedna lekarka, ale zakonnice zostały wszystkie. Dyrektor szpitala też wyjechał. Przyznam, że i ja zamierzałam uciekać, już nawet spakowałyśmy z Kazią walizki. Poszłam do zakonnicy poprosić o chleb na drogę, a ona uklękła przede mną i powiedziała: „Jeśli ty odejdziesz, stracę wiarę”. Rzuciłam walizkę i zostałam, bo gdyby zakonnica miała wiarę stracić... – śmieje się, odbierając tamtej chwili jej patetyczność. – Zostałam i nigdy już więcej nie przyszło mi do głowy opuszczać chorych.

Pozostało wtedy chyba około sześciuset pacjentów, potem niektórzy jeszcze wracali. Pootwieraliśmy oddziały. Niektóre chore ubrały białe chałaty i czepki, zostawione przez służbę. Większość pacjentów nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia, w szpitalu czuli się bezpiecznie. Nawet oddział sądowy został otwarty i żaden z zabójców nie zrobił niczego złego ani nie usiłował uciec. Rozpuszczono inwentarz, konie, krowy, woły chodziły samopas.

W pierwszym dniu wojny zakonnice ugotowały zupę, a my z Kazią rozwoziłyśmy ją do oddziałów. Potem poszłyśmy z chorymi zbierać jabłka w sadzie, a był wtedy wielki urodzaj na owoce. Razem z pacjentkami, które pochodziły ze wsi, wydoiłyśmy krowy, więc było i mleko do kawy. Wszyscy mówili, że wojna skończy się w dziewięćdziesiąt dni. Nie wiem, kto to wymyślił.

Gdy zbliżali się Niemcy, pojawił się w bramie szpitala polski oficer i przestrzegał nas przed ich okrucieństwem. Mówił, że obcinają nosy, piersi, uszy. Zostaliśmy jednak z chorymi. Schowałam wtedy dwa odbiorniki radiowe. O, tam, gdzie był wówczas wmontowany wentylator. – Wskazuje na ścianę dużej sali. – Niemcy je potem znaleźli, ale nie wiedzieli, kto je ukrył.

Niemcy przyszli we wtorek. A może w środę? – zastanawia się. – Gdy nadjeżdżali od Krakowa, lekarze polecieli pozamykać chorych w budynkach oddziałów, a służba zebrała się w suterrenach nowego pawilonu v.c. Panował strach, wszyscy chcieli się spowiadać. Ksiądz kapelan chodził wśród nas, ciężko chorym dawał błogosławieństwo na godzinę śmierci, chrzczył Żydów, rozgrzeszał. Jeszcze wieczorem byli na terenie szpitala żołnierze polscy, a już następnego dnia przyszli Niemcy. Nasi uciekali w popłochu, gubiąc czapki i buty.

Rano zakonnica poprosiła mnie, bym poszła na oddziały i zobaczyła, ilu pacjentów popełniło samobójstwo. Zostali przecież sami, i to w tak niespokojnej atmosferze. Kiedy zaszałam do moich pacjentek, były już poubierane, zasłały łóżka, wszędzie panował wzorowy porządek. Żadna nie targnęła się na swoje życie. Opowiadały, że w nocy były manewry wojskowe, a to Niemcy nadchodzili.

Poszłam wtedy w stronę prosektorium, skąd było widać miasto, i zobaczyłam Kraków w dymie. Pobiegłam, by powiedzieć o tym siostrzym zakonnym zgromadzonym w suterrenach. Wysłały nas z Kazią na folwark, byśmy sprawdziły, co się tam dzieje. Patrzymy, a tu Niemcy. Podeszliśmy do nich z duszą na ramieniu. Mieli mnóstwo koni, czyścili je i wprowadzali do szpitalnej stajni. Jeden z nich, chyba Ślązak, bo umiał mówić po polsku, zapewniał nas, że nie ma się czego bać, pytał, ilu mamy chorych. Powtórzyliśmy tę rozmowę zakonnicom.

Wśród naszych pacjentów ukryło się wielu polskich żołnierzy, którzy nie mieli już siły uciekać. Wciągnęliśmy ich do dokumentacji szpitalnej.

Na drugi dzień Niemcy zaczęli przejmować szpital. Dyrektorem został zwykły wojak niemiecki, który nie znał się na medycynie. Chodził nadęty i krzyczał, ale wtedy jeszcze decydowali o chorych nasi lekarze, robiliśmy dla pacjentów wszystko, co było można.

Zaczął nam dokuczać głód, bo wydzielano każdemu po dwieście dekagramów chleba dziennie, gotowałyśmy zupę z pokrzyw i lebiody. Wszyscy niedojadali, chorzy i służba. Na śniadanie dostawaliśmy kawałeczek chleba i pół litra barszczu, który przypominał krochmal, na obiad zupę ze szczawiu lub pokrzyw, czasem z odrobiną koniny, na drugie danie dwa małe ziemniaki albo jeden duży czy buraka w łupinach, albo pół, a na kolację najczęściej kaszę. Pacjentki były tak wygłodzone, że trzeba ich było pilnować, bo odbierały sobie jedzenie. Tylko niektórym rodziny donosiły żywność.

Chorzy umierali z wycieńczenia. Tych, którzy zmarli w pierwszych dniach wojny, pochowaliśmy bez trumien w pobliżu oddziału. Przeniesiono ich potem na cmentarz. Ci, którzy mówili po niemiecku, próbowali upominać się o większe porcje dla pacjentów i pracowników, ale na nic to się zdało.

Zimą brakowało węgla, marzliśmy potwornie, ubieraliśmy chorych w co się dało. Ci, którzy mogli się poruszać, lepiej znosili chłód, ale leżący zaziębiali się, przemrażali ręce, nogi. Przykro było na nich patrzeć, ale nie można było im pomóc. Kilku pacjentów uciekło, zdarzały się też samobójstwa.

Choć nie było kierownictwa, nasz stosunek do chorych właściwie się nie zmienił, byliśmy nauczeni dużej dyscypliny i odpowiedzialności. Martwiliśmy się o pacjentów, bo słyszało się, że Niemcy wywieźli chorych z innych szpitali i rozstrzelali. Niektórych naszych podopiecznych rodziny zabierały do domu, wypisywaliśmy ich chętnie, wiedząc, że będą bezpieczniejsi.

Wkrótce stanowisko dyrektora objął lekarz niemiecki, wiedeńczyk służący w Wehrmachcie, był raczej kulturalny i wyrozumiały. Zresztą Niemcy, którzy na początku przebywali w naszym szpitalu, nie byli tak bardzo okrutni jak ci, którzy przyszli później. Wymagali tylko, by im mówić „dzień dobry” i wykonywać wszystkie polecenia. Wprowadzili naukę języka niemieckiego, ale uczyliśmy się go niechętnie.

Tragedia zaczęła się, gdy przyszli esesmani. Przyjechali w czerwcu 1942 roku, groźni, z trupimi czaszkami na czapkach. Dyrektor miał przygotować dla nich miejsce, czyli usunąć chorych. Zapowiedziano ewakuację pacjentów do Drewnicy koło Warszawy. Miała się odbyć za tydzień, to był czas panicznego strachu. Pozbierano metryczki chorych z ich danymi personalnymi i ułożono listy. Rozniosła się wieść o ewakuacji i odtąd pod bramę przychodzili krewni pacjentów pytać o ich los. Niektórzy chcieli zabrać bliskich do domu, ale wtedy nie wolno nam już było nikogo wypisywać. Ogłoszono, że jeśli kogoś zabraknie, będą rozstrzeliwać pracowników szpitala. I do ostatniej chwili przyjmowano nowych pacjentów. Zwolniono wtedy wszystkich lekarzy polskich i polecono im jechać do Drewnicy, gdzie rzekomo mieli przybyć chorzy. Nie wierzyliśmy w te zapowiedzi, wszyscy podejrzewali, że pacjentom grozi śmierć.

23 czerwca, idąc wcześniej rano do kaplicy, spotkałam naszych furmanów jadących do Mydlnik po wapno. Jeden z woźniców powiedział mi, że przypuszcza, iż wapno będzie potrzebne do zatarcia śladów po rozstrzelaniu pacjentów. Widziałam też wtedy, jak

przywieziono na cmentarz dwa samochody pełne Żydów i kazano im kopać doły.

Nieco wcześniej, nim zabrano metryczki chorych, nasz późniejszy dyrektor Tadeusz Pańków, wówczas młody lekarz, wypisał kilku żołnierzy polskich, którzy przebywali w szpitalu jako pacjenci. Uratował im w ten sposób życie.

Rano, w dzień ewakuacji, kazano nam się zebrać w sali teatralnej. Ogłoszono, że o godzinie trzynastej będą wywożeni chorzy, a całej służbie polecono opuścić szpital. Jedna z zakonnice zapytała, czy nie możemy zostać z chorymi do końca ich pobytu, gdyż taki mamy obowiązek moralny. Niemcy uzgodnili między sobą, że na każdym oddziale zostaną jedna czy dwie osoby z personelu, a pozostałe przed wyjściem oddadzą im klucze. Kiedy przyszedłam na nasz oddział, nie było już żadnej koleżanki, wszystkie uciekły, a klucze zostawiły w moim pokoju. Były pewne, że zostaną z chorymi, więc nie mogłam ich zawieść.

Przywieziono wtedy do nas sześćdziesięciu chorych psychicznie leczonych u ojców bonifratrów w Kalwarii Zebrzydowskiej, mieli być ewakuowani razem z naszymi pacjentami. Wówczas przy szpitalu była zwrotnica, dowożono wagonami węgiel, żywność, słomę. Właśnie do tych wagonów miano załadować chorych.

Wszyscy pacjenci przed ewakuacją dostali obfity posiłek: mięso, kapustę, ziemniaki. Dotąd nie wiem, dlaczego przed wyjazdem na śmierć nakarmiono ich wreszcie do syta. A że przedtem długo głodowali, wielu dostało bólu brzucha, biegunki.

Gdy Niemcy przyszedli po moich pacjentów, do oddziału VI B, stałam tu, w korytarzu, oparta o ścianę, bo z rozpaczy i żalu brak mi było sił. Mieli ze sobą listy chorych, a pod białymi fartuchami dojrzałam karabiny. Podeszła do mnie zakonnica, która była naszą pacjentką, aby się ze mną pożegnać. Wiedziała, że idzie na śmierć. „Zobaczymy się w niebie” – powiedziała. Bardzo ją lubiłam i starałam się ocalić. Jakiś czas wcześniej, gdy już oznajmiono nam plan ewakuacji, zaprowadziłam ją do klasztoru, z którego przybyła, i prosiłam, by ją przyjęto z powrotem, ale przełożona się na to nie zgodziła. Miałam o to do niej duży żal.

Na moim oddziale było sześćdziesiąt pacjentek, Niemiec trzymał w ręku listę z ich nazwiskami. Wyprowadzano je kolejno



i ustawiano obok krytego samochodu otoczonego żoł- Teatr, 1. poł. xx w.
nierzami trzymającymi pod białymi kitlami broń. Jed-
na z chorych, Krysia, studentka, którą bardzo lubiłam, była wtedy
w ostrej psychozie. Zachorowała, gdy jej matka zabiła ojca. Ona
do wszystkich mężczyzn mówiła „tatusiu”. Kiedy podszedł do niej
Niemiec, uśmiechnęła się do niego, wyciągała rękę i powiedziała:
„Tatusiu”. Kazali ją zostawić, jak jeszcze dwie inne kobiety.

Gdy odjechało jedno auto pełne chorych i zaczęto sprowadzać
następne pacjentki, Niemiec, czytając nazwiska z listy, zauważył,
że sześciu brakuje. Wygrażał mi, krzyczał, a ja nie wiedziałam, co
się z nimi stało. Szukali ich w całym budynku, prowadząc mnie
ze sobą. Wreszcie znaleźliśmy wszystkie sześć, schowały się na
strychu, a tak kurczowo trzymały się krat, że nie można było



ich od nich oderwać. Chodźmy, pokażę pani te drzwi – słyszę propozycję.

Wchodzimy po schodach, ale drzwi wiodące na strych są już inne, wykonane z drewna.

– Jak te chore błagały, by je zostawić – wspomina moja rozmówczyni, z trudem opanowując wzruszenie. – Jedna umiała mówić po niemiecku i prosiła ich, całowała po rękach. Czuły, że idą na śmierć. Nie było litości, musiały zejść do samochodu.

Chciałam jechać z nimi, ale mi nie pozwolili. Oddałam więc klucze i Niemiec odprowadził mnie pod karabinem do budynku. Widząc to, moje pacjentki myślały, że zaraz mnie zastrzeli, krzyczały z samochodu: „Nie zabijajcie nam siostry!” – relacjonuje sucho pani Janina i dopiero przy ostatnim słowie głos jej się załamuje. Płacze krótko, mocno wyciera oczy.

– Chciałam wtedy z nimi zginąć, choć miałam niewiele ponad trzydzieści lat – wyznaje.

– Niemcy zaprowadzili mnie do teatru, gdzie siedziała służba będąca w tym czasie w szpitalu. Potem przyprowadzili też mężczyzn, którzy umieszczali chorych w wagonach. Zebrało się nas chyba dwadzieścia cztery osoby, siedzieliśmy ze spuszczonej głowami, czekając na śmierć. Cały teatr został otoczony wojskiem, w drzwiach stało dwóch uzbrojonych żołnierzy. „Pioruna, nie wiem, co będzie, dziecka, z wami” – mrucał Ślązak.

O północy Niemiec, który nas pilnował, kazał nam położyć się w sąsiednich pokojach. Ale kto by zasnął w takiej sytuacji? Czekaliśmy, że za chwilę i nas zawiozą do krematorium. Potem mówiono, że ocalił nas poprzedni dyrektor, ten wiedeńczyk, który kierował szpitalem przed przybyciem esesmanów. Podobno oświadczył, że jeśli nas rozstrzelają, popełni samobójstwo.

Nad ranem postanowiłam zajrzeć do trzech chorych pozostawionych na moim oddziale. Miałam klucz dwuspustowy pasujący do wszystkich drzwi, podarował mi go pewien młody lekarz, którego Niemcy wysłali wraz z innymi pod Warszawę, gdzie rzekomo mieli być przewiezieni pacjenci. O świcie wyskoczyłam oknem, o, tamtym. Wszędzie było cicho i pusto. Przyszłam na oddział niezauważona przez nikogo. W separacie, gdzie zostawiliśmy Krysię, zobaczyłam na podłodze plamy krwi. Tu, w tej